

STARY MÓWIŁ:
— Wszystko się musi skończyć, to wiem, ale z tym domem to bardzo śmiesznie się skończyło; tak tylko kpina z tego wszystkiego, co było przedtem. Maszyna tylko trąciła dom i on się rozwalił. I był już koniec; a jak jest koniec, to się zaraz przypomniał początek i zaraz chcesz zobaczyć, co było pomiędzy tym początkiem a końcem.

Gdy przymrużę oczy i pomyślę, to mogę to zobaczyć. I na początku widzę tylko drzewa i drzewa, zabija nie wróble, i te zdychające, i te, zdechnięte wróble z rozdziałionymi dziobami; a później to była już robota i robota; a później też już tylko robota i robota, dużo było tej roboty. A później nie było już roboty, bo poszedłem mieszkać do syna, który jest w tym mieście i pracuje w fabryce. Jest syn, synowa i dwoje dzieci, i ja. Chciałem wziąć ziemię, bo jest się kimś, gdy się ma ziemię, ale syn nie chciał. Syn robił się podobny do diabła, gdy się mówiło o ziemi.

Byłem w tym miejscu, gdzie niektórzy z naszej wsi brali ziemię. Ziemia dobra i choć to inna wieś, żyłoby się tam. Ale syn nie chciał.

Mogłem brać tę ziemię w drugiej wsi, budynki można by postawić, bo pieniądze były. Zapłacili za ziemię i za budynki, i za sady, które poszły pod to miasto; ludzie bali się, że nie zapłacą, ale dali pieniądze. Można było kupić ziemię i postawić budynki. Ale przecież sam temu nie dałbym rady, a syn wykrzywił szkaradnie głowę, a to miał być śmiech i nie chciał słyszeć o ziemi.

Miasto i fabryka to dobra rzecz; ale nie można śmiać się z ziemi. Kto się śmieje z ziemi, głupieje albo już zgłupiał; takiemu ziemia przylepi się do nóg i będzie miał coraz więcej błota na stopach i nogach, i nie postąpi kroku, i będzie stał, i patrzył w jedno miejsce jak głupi; bo głupi tak stoją i patrzą.

Ten co się śmieje z ziemi, to gdy idzie i gdzieś wchodzi, to nie wiadomo co się z nim stanie tam, gdzie wszedł; inni, którzy tam weszli wyjdą, a on może nie wyjść. Patrzysz na te drzwi, w które on wszedł i wiesz, że za tymi drzwiami coś się dzieje, bo za każdymi drzwiami mi coś się dzieje, i ludzie, którzy tam weszli wychodzą, a ten, który śmiał się z ziemi nie wychodzi, albo wychodzi inny niż wszedł, wychodzi zupełnie głupi; bo już wtedy, gdy zaczął śmiać się z ziemi, zaczął głupieć.

Taki co się śmieje z ziemi, to będzie myślał, że jest mgła, choć jest dzień i świeci słońce, i będzie szukał ścieżki, będzie bełkotał i będzie chodził naokoło; a wtedy każdy robak będzie od niego mądrzejszy, bo on będzie zupełnie głupi.

Taki co się śmieje z ziemi, będzie szedł i nie zobaczy drzew, bo drzew taki nie widzi, będzie szedł jakby mu kto do głowy przystawił bardzo długą rurę i jakby tylko w tę rurę patrzył, bo głupi tak widzą.

Ten co się śmieje z ziemi, siędzie i ziemia się pod nim zapadnie i on wpadnie w ziemię i ziemia się z nim zamknie.

W mieszkaniu mojego syna jest ziemia tylko w doniczkach. — Mnie każą podlewać kwiatki rosnące w doniczkach, bo chcą żebym miał przyjemność. Dają mi mały dzbanek, taki który by się nadawał, żeby płuć w niego. Nalewam z kranu wody do tego dzbanka i idę z tą wodą ostrożnie do okien, gdzie są te doniczki i wlewam pod kwiatki wodę. Dobra ziemia jest w tych doniczkach, ale bardzo jej mało; czasem to trzeba te ziemię poruszać końcem noża, żeby się nie zrobiła skorupa; to jest takie bronowanie; ale tej ziemi bardzo mało.

Przedtem to ja wstawałem wcześniej rano i mówiłem do tego mojego syna — wstawaj pojedziemy orać i siał. I on wstawał i zaprzęgaliśmy kobyłę i jechaliśmy na pole. Oborywałem razem, bo orać w jednego niełatwo, a jak jest miedza to jeszcze trudniej; przy miedzy trzeba ziemię dobrze wyśkrobać i trzeba uważać, żeby nie zniszczyć miedzy, ale też żeby nie

z twojego do niej się nie przylepiło. Czasem zadrzy miedza, gdy przy niej ciągniesz skibę; wtedy trzeba tak zelżyć pług, żeby nie powyrywać z miedzy brył. A gdy się obrało, to syn orał sam, a ja stałem na polu i patrzyłem na tę orkę. A gdy syn zorał to mówiłem — teraz załóż brony, bo trzeba zabronować, bronuj po raz. A gdy zabronował po raz, mówiłem — ja będę siał, a ty za mną bronuj po dwa razy, tylko równo. Ja wsiadałem, a on kończył bronować; gdy skończył, to mu jeszcze kazałem przejechać dwa razy naokoło pola, żeby brzozy dobrze wyglądały; ja zsuwałem teraz ziemię, którą pług i brony wyrzuciły na miedzę, albo na inne pole. A gdy się to zrobiło, mówiłem — no to jedźmy do domu. Podkładało

nie wiedzieli jak tego złotego psa stamtąd wyciągnąć i śmiali się, bo im się nadarzyła okazja do śmiechu.

To było dość daleko od obejścia Gębalaka i on nie wiedział, gdzie się mu podział pies; a i nie miał czasu zajmować się psem, bo ładował wszystko na wóz i wnet miał jechać na tę drugą wieś, gdzie wziął ziemię.

A chłopcy, którzy byli przy tym dołku, też nie lecieli do Gębalaka i nie dawali mu znać, gdzie jest jego pies, bo to było daleko, a i pewnie sobie myśleli — pies to nie ważne. Stali więc nad tym głębokim dołem i śmiali się, a pies tam na dole kwiczał.

Jeden starszy mówił, że jak już jest w tym dole, to można by go zasypać, bo już pies dobrze się ustawił do tego przysypania i już można to zrobić teraz, bo to i tak tego psa nie minie i musi być kiedyś w dołku i skończyć w dołku pod ziemią. I ten,

który chciał zasypać tego psa żywcem powiedział — Zawartkowa lamentuje i rwie włosy z głowy, bo odjeżdża ze wsi, a my się mamy li-tować nad psem.

Któryś znów na to — nie można psa przysypywać żywcem za to, że Zawartkowa lamentuje i rwie włosy, bo ona zawsze łatwa była do lamentu. Co winien pies, że ona lamentuje.

Ale wielu miało ochotę przywalić ziemią tego psa, bo to było dla nich ciekawe, a nawet zdawało im się, że to będzie jakaś przyjemność. Ten pies wciąż był w dołku i kwiczał i z dołu patrzył na ludzi, ale to byli obcy ludzie, bo Gębalak już odjechał i nie czekał na psa. A we wsi był wielki ruch, bo to już był ostatni termin wyjazdu. Te stare domy, które jeszcze stały, miały być za kilka dni rozwalone; budowa podeszła do płotów, a na polach były już duże, piękne domy, w których już mieszkali ci, co tu chcieli zostać i wcześniej dostali robotę.

Na drogach skrzyślały wozy, bo były bardzo obciążone tym wszystkim, co ludzie, którzy się przesiadali, wywozili do tej drugiej wsi. Jechałem z nimi z ciekawości.

(Ciąg dalszy na str. 2)

WIESŁAW KULIKOWSKI

Stół

To nie był taki zwykły stół.
Trochę ze śpiewu był jasnego.
Leżała na nim słońca sól
i zieleniło się w nim drzewo.

Porównywałem go do ptaka,
bo nikt prócz mnie go nie zobaczył.
Mgła go na polach ustawiała,
gdy nasze oczy już pogasty.

Nigdy nie było na nim miejsca
na ślady wiatru i nienawiść,
lecz czas na kamień go zamieniał,
choć stały na nim kiedyś kwiaty.

We wsi Jesienina

Wieczór roznosi ściany,
gdy gwiazdy się tłą u ikony.
Pod dachem zastygły organy
i klon zrozpaczony, zielony,

bo w stawie jest nabożeństwo
żab złotych- i też kamiennych.
Chmury jak ptaki lecą,
przywiązane do ziemi.

W żalu konia prowadzą
z kartoflisk, z dławiącym dymem —
i mówią w śnie u sąsiadów
o prostych wierszach i zimie.



CZESŁAW KŁAK

Niedokończony reportaż

czy można konserwować drogę pamięci, gdy wiedzie do nikąd?

Autobus stanął na rynku. Zanim zdolał się skrzyknąć i ustalić prowizoryczny plan działania na okres kilku najbliższych dni, pasażerowie rozbiegli się niepostrzeżenie. Zostaliśmy sami. Miasteczko zdawało się być wyludnione zupełnie. Spostrzegłem to z pewnym zdziwieniem, bo minęła dopiero godzina osma, a zwykle o tej porze, nawet w miejscowościach małych, ruch uliczny jest daleko większy. Dopiero później miałem się przekonać, w czasie rozmowy z ojcem miasta, rezydującym w piętrowym na pozór obszernym budynku, który tylko przez szacunek dla wysokiej rady i jej prezydium nie nazywam ruderą, że wyludnienie, jakie obserwowałem z rana, jest zjawiskiem zupełnie naturalnym, szczególnie w dni pogodne, gdy trzeba kosić żyto lub pszenicę. Mówiono mi: Sieniawa liczy obecnie około 1300 mieszkańców. Wszyscy w zasadzie utrzymują się z rolnictwa, przemysłu nie ma tu żadnego, a dojechać do pracy trudno, bo i dokąd. Jest wprawdzie Zakład Budowlano-Remontowy, Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska”, Baza „Las”, cegielnia i kilka innych instytucji, które razem wzięte dają możliwość zarobkowania pięciuset ludziom. Panu wydaje się, że to jest dużo, bo z prostego obliczenia wynika, że ponad 1/3 ludności miasteczka pracuje poza rolnictwem, a raczej obok rolnictwa, ale tak jest tylko pozornie. Sprawa przedstawia się nieco inaczej. Większość zatrudnionych w Sieniawie to mieszkańcy okolicznych wiosek, którzy w pobliżu domów szukają możliwości dorobienia. Ziemia u nas piaszczysta i mało urodzajna, więc nawet czterech gospodarzy nie mogą brać wielkiego rozpędu. Teraz się pan chyba nie dziwi, że w taki dzień jak dzisiaj nie można się dopukać do wielu domów.

Zapowiadał się upał. Dawną ulicą Pańską biegnącą obok resztek fortecy zbudowanej w roku 1672 przez założyciela miasteczka Hieronima Mikolaja Sieniawskiego, udaliśmy się wprost do parku. Tutaj następny właściciel Sieniawy książę August Czartoryski wznosił w połowie XVIII wieku pałac, który obok Puław, nazywanych przez ówczesnych Polaków Atenami, stał się drugą rezydencją potężnego rodu magnatów. Wszędzie widnieją tu żalozne strzepy historii. Na lewo od głównej alei, zaniedbanej jak wszystko w tym parku, oficyna. Długo, piętrowy z małymi okienkami budynek. Mieszkał w nim Tadeusz Kościuszko. Pierwszy raz zjechał tu w roku 1775 w dość niezwykłych okolicznościach. Młody, nieco romantyczny oficer zakochał się w córce dumnego wojewody Sosnowskiego. Jenerał ziem podolskich książę Adam Kazimierz Czartoryski w tajemniczość w sprawę sercowe swego ulubieńca próbował przez Stanisława Augusta pomóc zakochać. Nie powiodło się. Sosnowski — jak pisze Ludwik Dębicki — ostrzeżony listem króla, zamiast ulec i zezwolić na małżeństwo córki, oskarżył Kościuszkę o zamiar wy-

kradzenia panny i poczynił kroki, aby za zamierzony rzekomo gwałt, wydano go z kraju. Jakoż Kościuszko chcąc uniknąć przykrego dla siebie i dla panny rozgłosu, opuszcza wojsko i Warszawę, znajdując schronienie w Sieniawie, a książę jenerał pociesza ulubionego elewa w miłosnym udręczeniu. Stąd na wieść o rewolucji amerykańskiej wraz z Julianem Niemcewiczem wyjeżdża Kościuszko na drugi kontynent, by wrócić stamtąd bohaterem. Drugi raz zjawia się Kościuszko w Sieniawie po zwycięstwie targowiczan w roku 1792. Wprawdzie oficyna, gdzie dwukrotnie rezydował późniejszy naczelnik powstania, służy obecnie celom wzrostu pogłowia króliczego, o czym świadczy gęsto ustawione na podwórzu klatki, w dni pogodne rozsiewające specyficzny zapach, ale przy padkowi turyści przy odrobinie wyobraźni i... wiedzy historycznej „odczują” atmosferę tamtych czasów.

Oderwałem się od kolegów, którzy zmęczeni długą przechadzką usiedli na kamieniu położonym „Na pamiątkę szczęśliwych dni”, jak głosił wyryty dużymi literami napis i zabrałem się opowiadaniem pikantnych anegdot, na temat wielkopolskich romansów. Odłączyłem się, by do kładniej obejrzeć pałac, a raczej to, co niegdyś było pałacem, a dziś jest ruiną z dziurawym dachem i spe-

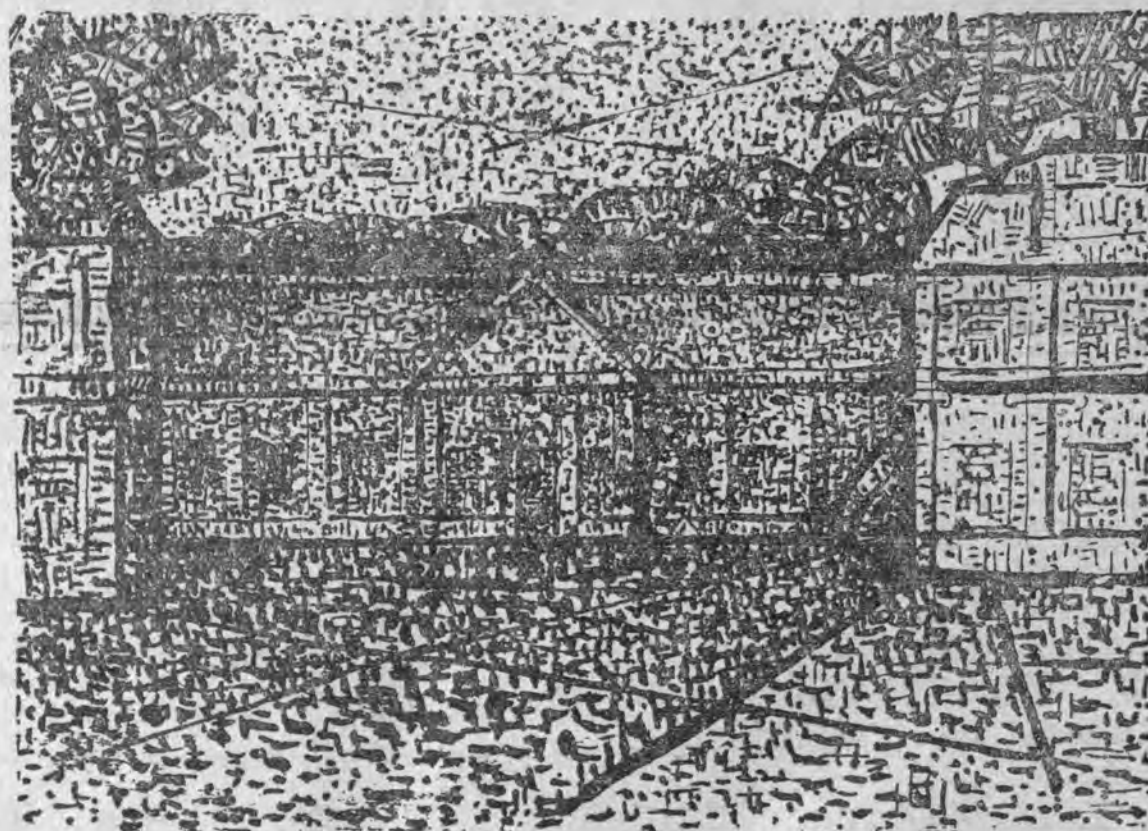
kany murami magistralnymi, z których wyrastają młode, smukłe brzozy. Zamurowano tu drzwi i okna. Trudno dociec, czy decyzyję tę uwarunkowały względy ochrony obiektu przed całkowitym zniszczeniem czy troska o głowy nieważnych dzieci, penetrujących jego wnętrza. Przez otwór zrobiony w bocznym oknie, dzięki docieklivosti sieniawskich harcerzy, dla których mur na jedną cegłę nie mógł być poważną przeszkodą, wszedłem do środka. Niewiele tu zobaczyłem. Resztki stropów, resztki ścian działowych, niewielkie fragmenty polichromii, potłuczone kominki... Zawiodła mnie wyobraźnia. Nie mogłem uwierzyć, że kiedyś odbywały się tu wspaniałe zabawy karnawałowe, aranżowane przez autorkę „Malwiny” księżną Marię z Czartoryskich Wirtemberską, że książę Adam Czartoryski, późniejszy naczelnik rządu narodowego w czasie powstania listopadowego podejmował tu cara Wszechrosji Aleksandra I, powracającego z Kongresu Wiedeńskiego, że wszystko tu kiedyś lśniło i błyszczało. Dzieło zniszczenia, napoczęte w czasie pierwszej wojny światowej, pogłębione w 1939 roku dokonane zostało w latach powojennych przez ludzi obojętnych na nieopieczonych. Znaczenie przetrzebiony został drzewostan parku, owe stuletnie lipy, olbrzymie nadwiślańskie topole, jesiony, świer-

ki i dęby dominujące nad „rzeczpospolitą” liściastych i iglastych drzew. Zniszczenie nie jest jednak, tak duże, by od nowa nie można tu było rozpocząć pracy nad przywróceniem Sieniawy, a może i ludzkości z daleka szukającym zacisznych, malowniczych zakątków do wakacyjnego odpoczynku, tego wspaniałego parku. Zapytałem o to gospodarzy miasteczka. Zrozumieli. Wiedzą, że utworzenie tu ośrodka wypoczynkowego ożywiłoby Sieniawę, szare przysięgi miasteczko. Boleją nad tym, że dotychczas nie znalazła się żadna instytucja, żaden większy zakład przemysłowy, który z korzyścią dla swoich pracowników i ich miast objąłby patronat nad parkiem, w którym stara zwiędła już tradycja idzie pod rękę z pięknem nadwiślańskiej okolicy. Czas nagli, za kilka lat może być już za późno.

Za sobą miałem bramę parkową przed sobą miasteczko ruchliwsze o tej porze. Postanowiłem wrócić tu jeszcze.

Zainteresowała mnie bowiem nie tylko przeszłość magnackiej rezydencji i mieszczańskie tradycje Sieniawy, która w okresie zaborów była dość żywotnym ośrodkiem handlu przygranicznego i stępną na całą okolicę z doskonałymi murażami, o czym wspominają stare encyklopedie, ale przede wszystkim współczesność, powolny, aczkolwiek systematyczny rozwój miasteczka, jego ludzie, skromni i uparci zarazem, umiający walczyć ze złym losem, który przesładował ich długo, bo aż do lat pięćdziesiątych, ludzi bez kompleksu niższości.

1) Ludwik Dębicki — Puławy, Monografia z życia towarzyskiego, politycznego i literackiego. Lwów 1887.



Pałac w Sieniawie

Rys. Zdzisław Ostrowski

POCZĄTEK

(Ciąg dalszy ze str. 1)

Ludzie siedzieli na wozach albo szli obok wozów i oglądali się na puste domy, które jeszcze stały, ale już za kilka dni miały ich nie być. Później te wozy wjeżdżały na główną drogę, z której było dobrze widać te opustoszałe wieś.

A ten pies Gębala został, bo Gębala nie mógł na niego czekać, bo chciał odjechać w całej kompanii i nie mógł myśleć o psie. Tamci, którzy stali nad tym dołem, do którego wpadł ten żółty pies wciąż się kłócili, bo jedni byli za tym, żeby tego psa wyciągnąć z dołu, a drudzy mówili — żeby go przysypać żywcem; i coraz więcej było takich, którzy byli za tym, żeby tego żółtego psa przysypać ziemią; ale wciąż nie wiedzieli, czy tego psa wyciągnąć z dołu czy go przysypać; zdawało się, że jednak będzie przysypany żywcem.

Wozy były już na tej głównej drodze a ludzie nie patrzyli przed siebie tylko za siebie, to znaczy na tę wieś, na te stare domy, które teraz było bardzo dobrze widać, bo

sady już były powycinane i nie zastanawiali domów. Ludzie mówili — patrzcie widać dom Zamorskiego, dom Jaworskiego, dom Postulaka; bo z tej głównej drogi bardzo dobrze było widać te domy.

Konie szły wolno, ludzie ich nie puszczali, bo się przypatrywali tym domom; i to było dobre, że z tej drogi mogli zobaczyć te domy, które nie zasłonięte przez drzewa, jakby się powiększyły i zwały się; ale pojeździć albo za kilka dni już ich nie będzie; ale teraz jeszcze je widać i konie idą wolno, bardzo wolno idą konie, ledwo się wloką te konie, jakby wiedziały, że tak trzeba; ale to przecież nie było nic, tylko patrzenie, takie, tylko jechanie tyłem na wozach.

A później obok tych domów wsiowych pokazywały się nowe, wysokie domy miasta; można było zobaczyć, że już na całych polach jest to miasto. Słońce było w okna tych miejskich domów i świeciło się te okna jakby się paliło w mieszkaniach. Stały te domy rzędem i były

wielkie i bardzo dużo okien w nich było; ale te stare domy wsi były tamtej chwili ważniejsze, bo ludzie krótko patrzyli na miasto i krótko mówili o mieście tylko wciąż — patrzcie, widać dom Jarosza, widać dom Tomanka, widać dom Tabor-

Gdy te wozy były na głównej drodze, to ten żółty pies Gębala, jak mi później mówili — był jeszcze w tym głębokim dole i kwiczał cicho, bo już go trochę zmęczyło to głośne kwiczenie.

Ten starszy chłopiec przyniósł łopatę żeby by czym przysypać psa i już się zanosilo na to, że poleci ziemią na tego psa, który był już bardzo zmęczony i właściwie coraz bardziej nadawał się, żeby go przysypać.

Wozy wciąż jechały wolno tą główną drogą i ludzie wciąż byli odwróci plecami do przodu wozów; wciąż było widać te stare, spróchniałe domy naszej wsi, te domy, których się już nie opłacało rozbierać i które miały być rozwalone za kilka dni. Ale droga trochę skręcała i te domy zaczęły po kolei znikać, ludzie wtedy mówili — już nie widać domu Tomanka, już nie widać domu Postulaka, domu Jaworskiego... ale jeszcze trochę tych domów było widać i dlatego ludzie jeszcze siedzieli tyłem na

wozach. Coraz mniej tych domów było widać i ludzie mówili — już nie widać domu Taborzkiego, domu Jarosza; a to — „już nie widać domu Taborzkiego, domu Jarosza” — nie oznaczało takiego zwykłego powiedzenia — „już nie widać domu Taborzkiego, domu Jarosza” — To oznaczało zupełnie co innego, bo to „nie widać” wypowiadane na tej drodze to nie było takie „nie widać”, po którym można by znów powiedzieć „widać”. Po tym „nie widać”, które było wypowiadane na tej głównej drodze, po której jechały wozy, już nigdy nie będzie można powiedzieć „widać”, jeśli chodzi o te domy, bo one jutro, pojutrze albo za kilka dni będą rozwalone. Ludzie to czuli i dlatego to ich „nie widać” wyglądało trochę inaczej niż takie zwykłe, po którym można się pośmiać i zagwizdać, cuknąć wesoło na konie albo zrobić wiele innych wesołych rzeczy. Ludzie zrozumieli nagle czym to mogą być takie zwykłe słowa — „nie widać domu Taborzkiego”.

Ten pies wciąż był w tym dołku i skomlał już nie jak pies, lecz jak jakieś inne małe stworzenie. Chłopcy przygotowywali się, żeby przysypać ziemią. Ten, który trzymał łopatę niecierpliwił się i wbił ją w miłąk ziemię, która została wybrana z dołu, tak jakby dawał znać innym, że jest dobra zie-

mia do przysypania psa i że należy tego psa przysypać, bo można łatwo z nim skończyć i nie dopuścić do tego, żeby się wściekł, gdy zostanie sam bez Gębala. Ale jeszcze nie było całkowitej zgody co do tego, czy psa przysypać i jeszcze nie leciała na niego ziemia. Tylko jeden rzucił na niego bryłę i ten pies głośniejsze kwiknął.

Ta droga wciąż skręcała i wozy wolnutek posuwały się naprzód, a domy znikły jeden za drugim i to „nie widać” wciąż było powtarzane. A ludzie jakby się bawili, bo czasem mówili — nie widać już kawałka domu Tomanka, nie widać już dachu domu Jaworskiego.

A później to już wszystkie domy naszej wsi znikły i nie było już widać wsi i nie będzie już widać wsi i już nigdy nie będzie widać tej naszej wsi.

Już się wozy nie wróca, bo wozy jadą wolnutek, ale naprzód; a choćby się wróciły, to i tak musiałby znów zawrócić do przodu i pojechać naprzód.

Gdy ta nasza wieś zniknęła, to z tego miejsca drogi, gdzie były te wozy pokazało się lepiej miasto, bo przedtem było widać jego część. Ludzie wciąż siedzieli tyłem na wozach i patrzyli na to nowe miasto, ale nie mówili, nie powiedzieli nawet — teraz widać całe miasto;

JERZY MIRECKI

ZAMIENIONE GŁOWY

Rola młodej inteligencji stale wzrasta. Dokładne określenie jej już teraz, to rzecz niebezpieczna. W jednym krótkim artykule można poruszyć niektóre aspekty tej sprawy — to fakt niezbyt. Silenie się na zbyt daleko idące uogólnienia byłoby jednak rzeczą niebezpieczną. Nawet bardzo.

Większość młodych ludzi zabiega dziś o to, aby skończyć wyższe studia. Znaczenie dyplomu rośnie bowiem z roku na rok. Człowiek przeważnie naprzód o coś zabiega, a dopiero później bada co to warto. Po studiach niektórych absolwentów spotykają rozczarowania. Okazuje się, że posiadanie wiadomości nie jest korzyścią w takim stopniu, w jakim ich brak jest zawadą. Rozczarowania bywają zresztą rozmaite.

ZNALEM starą kobietę wiejską, mającą dwóch synów z ukończonymi wyższymi studiami. Kobieta ta niedawno umarła. Przez całe życie nosiła chustkę na lewą stronę, żeby nie wypławiła w słońcu — w końcu nie zdążyła włożyć jej na prawą stronę i nacieszyć się nią. Tak samo nie umiała cieszyć się swoimi synami. Mówiła, że mają... „pozamieniane” głowy.

Pozamieniane głowy — określenie tego użyłem jako tytuł artykułu. Tak mi utkwiło w pamięci. Zapyta ktoś — dlaczego pozamieniane? Otóż, z prostych przyczyn: przecież co innego mają w głowach młodzi, gdy idą na studia, a co innego, gdy z nich wracają. Stają się jakby nowymi ludźmi — właśnie ze względu na duży skok w rozwoju umysłowym.

W wyższych uczelniach sporo jest studentów pochodzenia robotniczego i chłopskiego. Ze swoimi rodzinami nie zawsze potem umieją oni znaleźć wspólny język. Po ukończeniu nauki niechętnie wracają do swoich miejsc rodzinnych — tym bardziej, gdy są to wsie, lub małe miasteczka. Zjawisko takie określono jako wyobcowywanie się młodych inteligentów ze środowiska, zrywaniem przez nich związków z dawnym otoczeniem.

W województwie rzeszowskim nie mamy jeszcze wiele wyższych uczelni. Nasza młodzież jedzie studiować do Warszawy, Krakowa, Łodzi, a później stara się tam pozostać. Uważa, że lepiej szlifować bruk w stolicy aniżeli pracować z pożytkiem np. w Brzozowie.

U ludzi, którzy pokosztowali trochę wiedzy — mocniej daje o sobie znać kompleks prowincji. W praktyce zaś wcale nie zabiegani mieszkańcy dużych miast nie mają czasu wiele czytać, korzystać z dóbr kulturalnych. W lepszej sytuacji są pod tym względem nieraz rzeszowianie, czy przemyslanie.

Nie trzeba mówić o tym, że młodzi inteligenci powinni znachodzić się tam, gdzie są szczególnie potrzebni. Tam, gdzie jest ich jeszcze ciągle najbardziej brak.

WCIEMNY, zimowy wieczór prowadziłem ostatnio rozmowę z magistrem polonistyki — nauczycielem małej szkoły w okolicy podgórskiej. Na dworze pękały różne toporem mrozu dzikie jabłonie i grusze. Wróble stuknęły w zamrzniętą kulę ziemską, a myśmy gwarzyli sobie o życiu in-

teligenta na odludziu, o jego losie — w tym wypadku nie najweselej.

Na podstawie tej rozmowy i innych, można sobie stworzyć obraz życia młodych inteligentów, gdy zostają rzućni w tak zwany świat zabity deskami. Idąc w bitwę, broń muszą znaleźć po drodze — nie wszystkich jednak stać na to. Niekiedy w diabły leżą marzenia; niektórzy z czasem życie przeżera rdza.

Jeśli inteligencja w terenie chce brać udział w pracy społecznej — to często podrywa się jej „zdechłe koty”; zalewanie zaś drobnych spraw na ogół nie zaspokaja ambicji młodych ludzi. Im więcej ktoś posiada jej w sobie — tym mniej nadaje się do samotności. A tymczasem co robić wówczas, gdy obok jest jak trumna, puste zapole?

Młodzi inteligenci w takich wypadkach mogliby odejść, ale oni chociaż narzekają, to jednak przeważnie nie odchodzą. 75 proc. absolwentów wyższych uczelni przez długi czas nie zmienia miejsca pracy. Głosy, mówiące o płynności tego typu kadr — są więc nieuzasadnione.

Każdy człowiek jest mądrzejszy dla innych, niż dla siebie samego. Pozostając w odosobnieniu młody inteligent niekiedy się wypacza, zaczyna coraz mniej wiedzieć o sobie, w głowie ma z czasem pustkę. Można powiedzieć, że głowa jego zostaje znowu... zamieniona.

NA TRUPOŚCI w tej dziedzinie oddziaływują dotychczas też różne mity. Choćby takie przypuszczenie, że może istnieć w obecnych warunkach inteligencje getto. Jeśli kiedyś było ono możliwe, to dziś jest już całkiem nie do pomyślenia. Pod wpływem wykształcenia zacierają się różnice pochodzenia, ale to bynajmniej nie oznacza, że młoda inteligencja może egzystować w oderwaniu od podstawowych klas społecznych.

Jest to inteligencja proletariacka, bo służy przede wszystkim klasie robotniczej, która przewodzi w budownictwie socjalizmu. Przewaga młodej kadry rzuca się w oczy przede wszystkim w nowych dziedzinach nauki i techniki. Proces zrastania się inteligencji z narodem będzie się coraz bardziej nasilał. Zwalczając tej inteligencji, która nie jest obciążona starym bagażem ideologicznym — powinno to przyjąć łatwiej.

Młody inteligent — tam wszędzie gdzie się znajduje — musi posiadać

bliskie kontakty z ludnością. Rozsądny młody człowiek potrafi mieć po studiach nadal wspólny język z rodziną, ze środowiskiem, z którego wyszedł. Więc z innymi warstwami społecznymi nie pozwala się mu zasklepić. Udział młodych ludzi w umysłowej aktywizacji prowincji nie należy do spraw prostych, lecz przykłady świadczą o tym, że daje piękne rezultaty.

Obok wystrzonego krytycyzmu i bezkompromisowości potrzebna jest ideowość. Nieodżowne wydać się większe zainteresowanie studentów teoretyczną problematyką społeczną i światopoglądową. Jeszcze podczas studiów młodzi ludzie powinni mieć kontakt z przyszłym terenem swej pracy. A po zakończeniu nauk nie wolno im znowu tracić szybko z oczu uczelni.

Gdy u młodej inteligencji umocni się postawa społeczna — przestanie ona wchodzić w sytuacje konfliktowe. Znikną też wtedy do reszty antyinteligencje następnego — echa przebrzmiałych już antagonyzmów, zrodzonych w ustroju kapitalistycznym.

Do 1965 roku Herba absolwentów wyższych uczelni zatrudnionych w naszym województwie — wzrosło o około 25 procent. Najwięcej ich będzie w dziedzinie techniki, rolni i nauk ścisłych. Ten narybek powiększy znacznie kadry inteligencji pracującej dotychczas w terenie. Wspólnie z całym społeczeństwem ludzie zajmujący się nie z amatorsztwa, lecz zawodowo — działalnością umysłową — dokonają na pewno wielu nowych wspaniałych rzeczy.

Na temat roli, pracy młodej inteligencji można powiedzieć bardzo dużo. Warto na to zagadnienie spojrzeć z różnych stron. Może ktoś jeszcze zabierze głos w tej materii?... Dotychczas zbyt mało się o tym pisało. **JERZY MIRECKI**



Maszta przekaźnikowej stacji telewizyjnej na Suchej Górze.

Fot. Zdzisław Postępek

Ciąg dalszy czarnej kawy u polonistów

to czerpać można z obserwacji działalności Okręgowego Ośrodka Metodycznego, a zwłaszcza sekcji języka polskiego, którą kieruje mgr Z. Makuszkowa.

Ostatnio sekcja zorganizowała konferencję dla młodych nauczycieli i polonistów. Młodych nie tylko wiekiem ale i stażem, dla tych, którzy w tym zawodzie nie pracują dłużej niż 3 lata. Dla nich to właśnie St. Sojowa przygotowała lekcję pokazową. Lekcja wywołała duże zainteresowanie i wszyscy zgodnie przyznali, że korzystanie z płyt, na których w tym wypadku nagrane były „Treny” Kochanowskiego czyni lekcję ciekawszą i łatwiejszą do przyswojenia.

13 grudnia, w murach liceum im. Młodej Gwardii wznowiono dyskusję przy czarnej kawie, w której udział biorą poloniści — z rzeszowskich szkół średnich ogólnie-

kształcących i zawodowych. Tym razem dyskutowano nad książką Barteckiego i Chabiora na temat nowej organizacji procesu nauczania. Poruszone w książce zagadnienia takie jak: nauczanie problemowe, nauczanie w zespołach, wywołanie ożywionej dyskusji. Chwilę zaś odprężenia przyniosły wyświetlane przeźroczka przedstawiające arcydzieła malarstwa w Luwrze.

Spotkania polonistów przy czarnej kawie kontynuowane będą raz w miesiącu. Na najbliższym dyskusja toczy się będzie wokół dramaturgii J. Brodzkiego. Ma to swój związek z wystawieniem na scenie Teatru im. Siemaskowej „Niepokoju przed podróżą” a poprzednio „Skandalu w Hellbergu”.

Niemniej ciekawa była konferencja instruktorów języka polskiego, która odbyła się 15 grudnia br. Dyskutowano o pracy domowej ucznia, o celowości zadawania prac domowych, przeprowadzono dość szeroką analizę tego zagadnienia.

Nie była to dyskusja sama dla siebie. W oparciu o doświadczenia polonistów, jak też spostrzeżenia, które poczyniła sekcja języka polskiego przy Okręgowym Ośrodku Metodycznym Szkolenia Nauczycieli w Rzeszowie — stwierdzono, że w tej dziedzinie istnieje wiele uchybień. Do nich zaliczono m. in. zadawanie lekcji domowych w czasie przerwy. Nie każda z prac domowych mieści charakter celowy.

W wyniku tej wymiany zdań i poglądów — wydano wiele zaleceń zmierzających do odciążenia uczniów od niecelowych prac domowych.

Niemniej owocne i pożyteczne było spotkanie polonistów z prof. dr Janem Baculewskim, znawcą twórczości Marii Konopnickiej, członkiem Instytutu Badań Literackich PAN. Dyskutowano na temat recepcji twórczości Konopnickiej przez obecne pokolenie młodzieży.

Wymiana zdań ze znawcą literatury sprawiła nauczycielom wiele przyjemności. Duże zainteresowanie wzbudziła zwłaszcza zapowiedziana przez prof. Baculewskiego nowa książka pt. „Śladami życia i twórczości Konopnickiej” traktująca m. in. o związkach poetki z Rzeszowszczyzną.

Zyczyć sobie można jednego: więcej takich spotkań.

JULIAN KAWALEC

(e)

ale jednak wciąż siedzieli tyłem i patrzyli na te duże domy miasta i na te pałace się od słońca okna. To miasto było duże i piękne, ale oni nie mówili tylko patrzyli, jak by się bałi powiedzieć, że te miejskie domy są duże i piękne i że w tych domach zostali ich sąsiedzi i krewni.

Gdy ta nasza wieś zniknęła, to róg domu Tomanka zniknął ostatni i ludzie powiedzieli, że już nie widać chałupy Tomanka; niektórzy mówili, że nie widać tego rogu chałupy Tomanka. I to było chyba ostatnie powiedzenie w tym mówieniu o znikaniu domów; a róg chałupy Tomanka miał to szczęście, że zniknął ostatni; bo ludzie to sobie na pewno zapamiętali i później ktoś może to wspomnieć.

Gdy ten chłopak rzucił bryłę na żółtego psa, to zdawało się, że już się zacznie to przysypywanie i że wszyscy już się zgodzili na to przysypywanie psa żywcem. Ten, który trzymał łopatę już się tak ustawiał jak to zwykło się człowiek ustawia, żeby łopata nabierać ziemi i rzucić ją do dołu, tak jak się ustawiają ci, którzy zagrzebują umarłych.

Wozu szły jeszcze jakiś czas wolno i ludzie patrzyli na to nowe miasto; a później przycięli koniom, aż się konie zdziwiły i skoczyły naprzód i poleciały „dyrcka” w stro-

nę te drugiej wsi, w której brali ziemię.

Ten pies miał być już przysypany ziemią; ale nagle tym chłopcom, którzy się waleśali po placach budowy i teraz stali nad tym dołem, coś się stało i postanowili psa wyciągnąć z dołu; tak jakby się spodziewali większej uciechy z tego wyciągnięcia i z tego zachowania się psa po wyciągnięciu. Ktoś miał długi sznurek i chyba tylko temu sznurkowi żółty pies Gębala zawdzięczał wtedy życie, bo chłopcy zrobili długą pętlę na sznurze i opuszcili ją w dół i złapali tego psa na pętlę w pół i wyciągnęli go na wierzch. Na wierzchu pies wyrwał się im i z tym sznurkiem poleciał między place budowy, a później do wsi; poleciał na obejście Gębala, ale tam już nikogo nie było i domu tam też nie było, bo dom Gębala był nowy i Gębala sam sobie go rozebrał i już przedtem przewiózł na nowy plac w tej drugiej wsi, w której wziął pole.

Żółty pies latał po tym obejściu, na którym nawet swojej budy nie znalazł; znalazł tę budę zgniecioną i przesuniętą stamtąd, gdzie stała na dalsze miejsce, gdzie było wiele różnych rupiec, które tam zgarnęły jakieś maszyny do spychania; i te rupiecie, i ta buda zostały później wywiezione na jakiś miejski śmietnik. Ale wtedy, gdy pies przyleciał z tym sznurkiem u tyłka, to

buda jeszcze była i on ją sobie na ostatek obwąchał i poleciał dalej, bo pewnie chciał poszukać Gębala.

Ludzie powiadali, że ten pies przebiegł całą wieś i podobno poznał nawet tych z drugiego końca wsi, którzy zostali w mieście i nawet przystawał i łasił się przed tymi, na których przedtem szczekał; nie miał budy i tak bardzo spokojnie.

Później ludzie widzieli go, jak z tym sznurkiem u tyłka biegł waleń, trzymał leb na dół a ogon miał wtulony między nogi; i mówili, że się pewnie wściekł. Ci którzy zostali na miejscu napominali swoje dzieci, żeby nie chodzili do kupy, bo tam może być wściekły pies Gębala.

Ktoś mówił, że widział tego psa w nocy, jak pędził pustą ulicą z nosem przy asfalcie; ten który to opowiadał śmiał się i kpił z tego psa i mówił, że pies szukał wsi.

Ktoś znow widział go w innym miejscu, ale nie wiadomo czy widział; bo później ludzie, którzy byli z tej naszej wsi i zostali w mieście, chwaliłi się, że ujrzeli tego żółtego psa i mówili, że go widzieli, choć to na pewno nie była prawda; albo ludziom mogło się zdawać, że widzieli żółtego psa Gębala, a to mógł być inny żółty pies; choć powinnił poznąć, bo te psy z miasta to się pozna.

Nikt nie wie co się stało z psem Gębala; domyślają się tylko i mówią, że stało się to albo tamto; ale naprawdę to nikt nie wie, co się stało z tym psem. Jeśli latał z tym sznurkiem, mógł się zaczepić w gestych krzakach nad rzeką i już tak zostać i zdechnąć.

Mógł ten pies odbić się od miasta i pognąć do innej wsi i tam mógł go zattuc ludzie, bo wieś zawsze zattucze psa — przybędę.

Albo mógł ten pies odbić się w ogóle od ludzi i omijać ludzi; mógł tak zrobić, gdy się wyrwał spod motyki albo spod wideł i mógł zdziżyć i stać się dzikim psem. Może jest w jakim lesie albo w kępie i poluje na zające i jest tłusty i dobrze mu; a może znalazł Gębala i jest przy nowej budzie w tej drugiej wsi; ale nikt na pewno nie wie, co się z tym psem stało.

Ludzie, którzy tu w mieście zostali, chcieliby wiedzieć co się stało z tym żółtym psem, ale nie wiedzą tego; czasem sobie jeszcze ktoś przypomni żółtego psa. Czasem ktoś opowie, że gdy jeszcze tych kilka starych chałup stało we wsi, to pies szczekał obok nich. Ktoś mówił, że gdy przyjechała maszyna, żeby rozwalić te domy, to ten pies szczekał na maszynę, ale w końcu musiał uciec. A teraz nikt nie wie co się z nim stało.

ŚWIĘTA U KOWALSKICH



WSZYSTKO O CHOINCE

JUBILEUSZ

PIERWSZE wzmianki o zdobieniu choinki pojawiają się w Polsce około 1600 roku. Pierwszą wiadomość o choince ozdobionej błyskotkami i światłem pochodzi z 1737 roku. Tak więc choinka, w takiej postaci, w jakiej ją dzisiaj widzimy, obchodzi w tym roku 225-lecie swoich urodzin.

DRZEWO WIADOMOŚCI

ZWYCZAJ zdobienia choinki rozpowszechnił się u nas na początku ubiegłego stulecia, kiedy Warszawę okupowały wojska pruskie. Kraje protestanckie, nie uznające obrazów świętych ani figurek, broniły się przed ustawianiem szopki świątecznej, upatrując w niej skłonność do bałwochwalstwa. Zamiast trzech magów, ośła, wołu, baranka, pastuszków i świętych pańskich — wprowadzili surowy symbol biblijnego drzewa wiadomości dobrego i złego, opasanego opłotami węża kusiciela. Z czasem te wężowe opłoty przeistoczyły się w srebrzyste girlandy zdobiące choinkę. Pierwszy Wiedeń, pozostający pod włosko-słowiańskimi wpływami, wprowadził do ozdób choinkowych barwę i światło jako znak radości i wesela.

NAJPIERW „ŚWIATY”

ZWYCZAJ zdobienia choinki świątecznej papierowymi ozdobami, wycinankami i tzw. „światami” ma dawne słowiańskie tradycje. Owe „światy”, w postaci barwnego pająka, był to wielobok sporządzony ze słomy nanizanej na nitkę. Kolorowe papiery albo oplatki upiększały naroża i załamania sześcianów i ośmiościanów. „Światy”, zwane niekiedy pająkami, były prawdziwymi arcydziełami ludowego kunsztu. Symbolizowały Słońce wchodzące w grudniu w okres zimowego przesilenia dnia z nocą, a słoma, z której szkielet tego „słońca” był sporządzony — siłę Ziemi, z której wyrasta.

OZDOBY — SYMBOLE

SŁOWIAŃSKIE „światy” w okresie zaborów zostały zdystansowane przez fabryczne ozdoby choinkowe: różnego rodzaju bombki, złote, srebrne i kolorowe, „anielskie włosy”, błyszczące girlandy, srebrzyste „sople lodu” i inne wymyślne cacka.

Girlandy, opasujące choinkę i mające w założeniu symbolizować spłoty węża-kusiciela, przeistoczyły się w okresie zaborów w łańcuchy, symbolizujące niewolę. Zwyczaj wieszania na choince czerwonych jabłek miał symbolizować jabłko z rajskego drzewa, z czasem zaczęto jabłko złocić, a obok jabłek pojawiły się złoczone i posrebrzane orzechy, które nieczego już nie symbolizowały, spełniając jedynie rolę dekoracyjną.

ŁADNE — NIELADNE?

IM BARDZIEJ strojna światłem i świecidełkami była choinka, tym za piękniejszą uchodziła w mieszczańskich domach zeszłego stulecia. Prym w zdobieniu choinek wiodł wówczas Wiedeń, wyrabiający różnego rodzaju świeczące kule, bombki, girlandy ze strzyżonego sreberka, „anielskie włosy” z folii, a później z ciagnionego szkła, zimne ognie i inne błyskotki. Niezależnie od tej całej tandety artystycznej, tego taniego blichtru, choinka przybrana wiedeńskimi ozdobami miała swoisty urok, który zaczęto dopiero obecnie doceniać, w epoce kiedy secesyjne gusty są rehabilitowane.

CHOINKA POLSKA

W OKRESIE międzywojennym przeciwko brzydocie i tandecie ozdób choinkowych wystąpiła Gerson-Dąbrowska, która w głosnej owego czasu publikacji książkowej „Choinka polska” wystąpiła przeciwko importowanym świecidełkom, wypowiadając się za rozwojem ludowego, polskiego zdobnictwa choinkowego. W ślad za publikacją Gerson-Dąbrowskiej pojawiły się inne — „Choinka polska” Felicji Gąsienickiej, „Wzory ozdób choinkowych” Barbary Strassburger i „Ozdoby choinkowe” Marii Werten. Publikacje te wysuwały myśl podniesienia wyrobu ozdób

choinkowych do rangi sztuki stosowanej, opartej o ludowe wzory i pomysły artystów plastyków.

W okresie wojennym myśl uczynienia z choinkowego zdobnictwa prawdziwej sztuki nie mogła być rozwinięta z naturalnych przyczyn — braku odpowiedniego materiału i trudności z prowadzeniem tego rodzaju warsztatu na większą skalę. Nawrócono więc do myśli wyrobu ozdób choinkowych opartych na ludowych wzorach — ale zamiast artystycznych „światów” zaczęto produkować prymitywne sześcian i piramidki z kolorowego papieru rozpiętego na drucianym rusztowaniu; opasujące choinkę łańcuchy z kółek kolorowego papieru albo ze strzyżonej bibułki miał znów symbolizować niewolę.

NIECH ŻYJE SECESJA

PO WOJNIE powrócono do zwalczanych poprzednio — świecących, barwnych, krzykliwych, secesyjnych ozdób choinkowych. Pojawiły się znów na stoiskach ulicznych i w sklepach kolorowe bombki i inne świecidełka. Niebawem powstała w województwie olsztyńskim zakrojona na wielką skalę wytwórnia ozdób choinkowych, obliczona nie tylko na potrzeby wewnętrzznego rynku, ale również na eksport.

Plastycy zaczęli projektować coraz to nowe formy wydumkiwanych ze szkła ozdób choinkowych, powlekanych następnie malowidłami, posrebrzanych i złoczonych. Obok tradycyjnych bombek choinkowych, pojawiły się grzybki, szyszki, krasnoludki, winne grona, łabędzie, a ostatnio sputniki. Najlepsze ozdoby choinkowe wyrabia się ze szkła jeleniogórskiego.

TOWAR EKSPORTOWY

OZDOBY nasze idą masowo na rynki zagraniczne, głównie do Ameryki, gdzie otrzymuje się za jeden gros ozdób 10 dolarów. W 1960 roku „Batory” zawiózł do Montrealu 10 ton bombek choinkowych. Jak długo potrwa jeszcze popyt na te choinkowe ozdoby trudno przewidzieć, gdyż przemysł elektrotechniczny, wyrabiający nie tylko świeczki i lampki choinkowe, ale również migające elektryczne gwiazdeczki, zapoczątkował ostatnio nową modę strojenia świątecznych choinek.

A. CZERMINSKI



Rys. KUBA

JAN WŁODEK

MYŚLI I ROZWAŻANIA

Czasem takt znaczy więcej niż taktyka.

Jeden ogląda życie z wyżyn samolotu. Drugi — z nizin suterenu. A prawda leży pośrodku.

Życie dniem wczorajszym, znaczy skracać swoje życie.

Przyjacielem twoim jest nie ten, kto cię chwali, lecz ten, kto pragnie, byś godny był chwały.

Najcięższy wypadek ślepoty jest wówczas, kiedy człowiek sam nie chce widzieć.

A F O R Y Z M Y

Najczęściej podskakują ci, którym daleko do szczytu.

Szczyt głupoty zdobywa się bez wysiłku.

Nieraz zgaszenie światła w zupełności wyjaśnia sytuację.

Miłość, jak i sam człowiek, częściej ginie z przejedzenia niż z głodu.

Wybrał: j. k.